



Złote korony księcia Dardanów



Eugeniusz Paukšta

1

Eugeniusz Paukšta

ZŁOTE KORONY KSIĘCIA DARDANÓW

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-71-5

Copyright © Eugeniusz Paukšta

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

Mojemu synkowi – Dominikowi

SPIS ROZDZIAŁÓW

- I. Z OSTRÓDY NAD MARICĘ
- II. STAMBULSKIE PERYPETIE
- III. ADAMPOL ZAGUBIONY W AZJI
- IV. JULEK! BOSFOR SIĘ PALI
- V. A NA IMIĘ JEJ BYŁO HADŻER
- VI. JAKŻEBY SIĘ MOGŁO OBEJŚĆ BEZ BÓJKI?
- VII. NA OBCZYŹNIE WCALE NIE BYWA ŁATWO
- VIII. JULEK POZNAJE PROFESORA KSERESA
- IX. BŁYSKAWICZNY RAJD WZDŁUŻ MORZA MARMARA
- X. NA SCENIE POJAWIAJĄ SIĘ NOWE POSTACI
- XI. MEDUZY POTRAFIĄ BYC NIEPRZYJEMNE
- XII. WICEK, OŚMIORNICE I ŻÓŁWIE ZAGĘSZCZAJĄ SCENĘ
- XIII. O TROI, SCHLIEMANNIE, NADE WSZYSTKO ZAŚ O DARDANACH
- XIV. GDZIE SIĘ MOŻE KRYĆ KSIĄŻĘCY GROBOWIEC?
- XV. I WICEK DOCZekał SIĘ SWOJEJ PRZYGODY
- XVI. SKUPIAJĄ SIĘ BŁASKI, GROMADZĄ SIĘ CIENIE
- XVII. OD NOCNYCH WYDARZEŃ W NAMIOCIE DO ODKOPANEJ KOLUMNY
- XVIII. OSTATNI WYCZYN TAŃCZĄCEGO DERWISZA
- XIX. PO DRAMATYCZNEJ NOCY
- XX. U PROGU WIELKIEJ TAJEMNICY
- XXI. ZŁOTE KORONY KSIĄŻĄT DARDANÓW
- XXII. SKAMANDRIOS TO JA!
- XXIII. I ZNOWU HADŻER
- XXIV. ZWARIOWANY POŚCIG PRZEZ NOC
- XXV. KONIEC BĘDĄCY ZARAZEM ZAPOWIEDZIĄ POCZĄTKU

I. Z OSTRÓDY NAD MARICĘ

Znalazł się teraz na wyspie, którą tak bardzo lubił. Zarośnięta drzewami i krzewami, pasmem trzciny wybiegała daleko w wodę. Tam najlepiej było bawić się w chowanego czy w Indian, a później, gdy te szczenięce zabawy wywietrzały już z głowy, przesmykiwać się wąziutkimi, zarośniętymi ścieżkami, szukając na nich świeżych odcisków racic dziczego stada.

Często w letnie i wiosenne dni wędrowali nad te wody całą rodzinną trójką. Do stacji kolejowej Piławki dojeżdżali pociągiem, a potem przez pachnący żywicą sosnowy las docierali nad ciemne, niemal granatowe Jezioro Drwęckie, długie jak kicha, z drzewami przeglądającymi się w toni.

Płynął teraz z powrotem, od wyspy ku rodzicom skrytym w cieniu drzew przy samym brzegu. Matka wysoko podciągnęła kolana, opasując je rękami, patrzy w jego kierunku, coś mówi do leżącego opodal ojca. Przytakuje jej kiwaniem głowy, śmieje się. Wtedy i mama wybucha śmiechem.

A zaraz potem przegląda mu włosy dłonią o długich, smukłych palcach. Nic nie mówi i ciągle tylko przegląda, aż on lekko odchyła w bok głowę, trochę mu wstyd podobnych pieszczot, zupełnie jakby nie miał już tych kilkunastu lat życia, jakby nie był już prawie dorosły...

...Dotyk dłoni na głowie jest tak bardzo prawdziwy, że Julek, otwierając oczy, zaskoczonym spojrzeniem ogarnia dziwny świat rozpościerający się wokół.

Nie ma ani jeziora, ani wyspy zarośniętej gęstwą zieleni. Nie ma ojca ani matki i jej ciepłej dłoni... Naprzeciwko siedzi tylko tęgi Grek, jedyny od Sofii towarzysz podróży w przedziale. Grek uśmiecha się, łyskają złote zęby, coś mówi.

Chłopak zaciska wargi. Nie może otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywołał tamten sen, tak uroczy, tak bardzo zarazem nieprawdziwy. Tego by tylko brakowało, żeby się rozplakał przy tym Greku. Pozwalał sobie niekiedy na to w ukryciu, gdy był zupełnie sam. Wtedy też najczęściej wspominał matkę. Już go nigdy więcej nie przeglądnę po włosach. Teraz już by nie uchylał głowy, nie odczuwał zażenowania. Teraz...

Patrzy przez okno wagonu, widzi migocące drzewa, zlewające się w zwarte plamy zieleni; miejscami przebłyskuje coś jakby woda. I już wie wszystko, już zamroczenie snem rozplynęło się bez śladu. Trwa ciągle jego wielka podróż, już zaraz zacznie się czwarta doba. Przez Polskę, przez Czechosłowację i Węgry, potem przez Jugosławię, wreszcie Bułgaria. Skoro zaś minie i bułgarską granicę...

Czego ten tłuścioch znowu się czepia?

Trzeba coś odpowiedzieć, pomyśli, że Polacy to mruki i gbury.

Grek powstał, czyniąc zachęcający gest w kierunku drzwi. Raz jeszcze powtórzył swoje. Nareszcie Julek zrozumiał. Zaprasza na obiad.

– Thank you. I have eaten [*Dziękuję. Już jadłem.*] – powiedział, skłaniając się grzecznie.

Grek uśmiechnął się, wziął go pod ramię, zachęcał tym gestem. Zagotowało się w chłopcu. Jeszcze czego, łaskawco tu będzie odstawiał, w litość się bawił.

– Dziękuję, nie! – odrzucił twardziej, wywinął się z uchwytu ręki, zbliżył się do okna. Drzewa migają w przyśpieszonym tempie, pociąg rwał teraz szybciej.

Grek przyjrzał mu się ciekawie, wzruszył ramionami i wyszedł, cicho zasuwając drzwi.

Julek odetchnął. Czuł, jak na policzki biją mu rumieńce. Za kogo ten Grek go ma? Za żebraka, który się zlakomi na obiad? Przyjął od niego wprawdzie pomarańczę, ale to było co innego. Drugiej odmówił. Banana też nie chciał, chociaż grubas kupił ich w Sofii całą torbę. A teraz Grek wyskakuje z obiadem. „Pewnie przyglądał się, jak wcinałem swój sczerstwiały

chleb, pogryzając go wędzoną kiełbasą i podsuszonym serem – pomyślał – i pożałował, postanowił odegrać dobroczyńcę”.

Zaraz, jakże się on nazywa? Wymienił parę razy to swoje nazwisko, tak jakoś śmiesznie się zaczynało...

Podniósł się, obrócił kartkę przyczepioną do walizki Greka, przeczytał: Nikolas Papanescu. No właśnie, Papanescu.

Wsiadł jeszcze w Czechosłowacji, w Bratysławie. Dwóch tragarzy ciągnęło za nim walizy. Szumu narobił w przedziale tyle, co tuzin innych podróżnych. Bułgarzy kryli śmiech, patrząc na niego. Ledwie usiadł, zapalił śmierdzące cygaro. A potem mlaskając zaczął jeść cukierki. Próbował gadać ze wszystkimi, w różnych językach, choć zdaje się, żadnego za dobrze nie znał. Gdy pociąg przystawał na dłużej, wyskakiwał, wzywając ku sobie sprzedawców napojów. Pił piwo, lemoniady, oranżady, soki jakies, z wagonu restauracyjnego kazał przynosić to herbatę, to kawę, to znowu piwo. Pocił się okropnie, ciągle chustką przeciągał po czole albo głowę wystawiał przez uchylone okno. I znowu gadał. Przyszła kolej również na Julka. Aż gębę rozwarł, można w niej było policzyć wszystkie złote zęby, aż mu się oczy zdawały poszerzać, kiedy dowiedział się, że chłopiec jedzie do Turcji.

At, nie warto sobie nim głowy zawracać. Wyjrzał znowu przez okno.

Długo musiał spać, bo widok za oknami odmienił się bardzo. Uprawne pola, kukurydza, olbrzymie połaci słoneczników, a obok niziutkie rośliny z białymi plamkami jakby kwiatów, jakby puszków, sycących się słońcem. Bawełna, jak powiedzieli Bułgarzy, którzy opuścili w Sofii ich przedział. Gorąco. Coraz goręcej. Trudno wytrzymać w tym wagonie. A może po prostu jest już zmęczony. W domu ostatni okres też był męczący. Smutne spojrzenia ojca, jego ciężki oddech, zmizerowana twarz. Po śmierci mamy Julek nie podejrzewał jeszcze niczego. Myślał, że to po prostu smutek tak wpływa na ojca. Potem zaczął co nieco pojmować. Z przyłapanych recept, z odezwań ojca, z listów, które coraz częściej przychodziły z Turcji od cioci Zosi.

Ojciec nie umiał przystąpić do tej rozmowy. Kołował jakoś, jękał się nie po swojemu. Zdarzyło się to wtedy, gdy niespodziewanie przyniósł paczkę podręczników i podał ją synowi. Julek rozwinął zaciekawiony, spojrział, książki na klasę dziewiątą. Zdumiał się. Dopiero kwiecień, po co te podręczniki na zapas?

– Ciocia Zosia serdecznie zaprasza cię na wakacje... Pragnęłaby, abyś przyjechał jak najwcześniej. Uczysz się dobrze, więc to chyba będzie możliwe. Trzeba porozmawiać z kierownikiem szkoły i z dyrektorem liceum, może z kuratorem w Olsztynie... Wydaje mi się, że powinienes pojechać.

– Do cioci Zosi? Ja?

Okropnie zdumiała go ta nowina. Najpierw ogarnęła go cieleca radość z perspektywy podróży, zachłyśnięcia się wielkim światem, krajami, które zobaczy, ta Turcja daleka, tak straszliwie daleka, nieznana zupełnie, bo w końcu opowieści ojcowskie czy cioci Zosi, gdy odwiedziła ich przed czterema laty, to było bardzo niewiele... Ale potem przyszło zastanowienie, lęk – śmierć mamy, dziwne zachowanie ojca, jego decyzje, teraz jasne, wtedy nie bardzo wytłumaczalne. Jak ta, gdy nakazał mu rzucić komplety, a dalszą naukę angielskiego prowadzić prywatnie, nacisk kładąc zwłaszcza na umiejętność rozmowy... I jeszcze świadomość czegoś nieznanego, przeczcucie odmiany w życiu.

– Do cioci Zosi? Ja? – powtórzył, a gdy nie doczekał się odpowiedzi, spojrział w stronę ojca.

Stał zapatrzony w okno. Z całą ostrością uderzyły go ogromne zmiany, jakie dokonały się w ojcu w ciągu ostatniego półrocza. Cienie głębokich bruzd, oczy zapadnięte i tak przeraźliwie smutne. Przypadł do ojca i objął go, powtarzając, że nigdzie nie pojedzie, że nie opuści go, że będą razem, zostali przecież we dwójkę, są sobie nawzajem tak bardzo potrzebni...

Ojciec długo milczał. Potem odsunął go od siebie i powiedział cicho:

– Przede mną długie leczenie: sanatoria, szpitale, miesiące i miesiące poza domem. Nie ma sensu, byś tkwił tu sam. Będziemy często do siebie pisywać. Pojedziesz do cioci Zosi. Jeżeli zajdzie potrzeba, zostaniesz tam również i po wakacjach. Będziesz sam się uczył, aby nie stracić roku; zdawałbyś po powrocie egzamin.

– Ależ, tatusiu...

– Przemyslałem to dobrze. Lepszej rady nie ma. Ciotka również jest podobnego zdania. Lepiej nie dyskutujemy na ten temat, a zastanówmy się nad twoją podróżą. O paszport i wizę w twoim imieniu już wystąpiłem...

...Pociąg zaczął gwałtownie hamować. Za oknem wyłoniła się gęstwa budowli. Wielkie litery na dworcowym budynku. Dimitrowgrad.

Z piskiem otwarty się drzwi przedziału. Gruby Grek wsunął się przez nie z przyjaznym uśmiechem od ucha do ucha. Wskazując pulchną dłońią za okno, objaśnił:

– Dimitrowgrad. It's fifty kilometres to the Greek frontier. [*Pięćdziesiąt kilometrów od greckiej granicy.*]

Odsunął się zaraz, robiąc przejście dla kogoś stojącego poza nim.

Julek spostrzegł kelnera z wozu restauracyjnego. Na wielkiej tacy dymiły talerze z obiadowymi daniami. Kelner postawił je na stoliku i ulotnił się jak zjawą.

Greki wybuchnął śmiechem na widok zbaraniałej miny chłopaka. Poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

– Yes. You must eat. It's a long way to Stambuł. [*Tak. Musisz jeść. Jeszcze daleko do Stambułu.*]

Z trudem pojmował sens źle wymawianych angielskich słów. Więcej dopowiedziała już mina Greka, który nie ustawał w klepaniu go po ramieniu, a jeszcze ruchem dłoni wskazywał na serce, że niby to stamtąd dar.

Julek otrząsnął się. Przeskok od wspomnień niedawnej, decydującej rozmowy z ojcem do krajobrazu za oknem i do sylwetki uśmiechniętego Greka był zbyt raptowny. Co powinien teraz zrobić? Przyjąć zaproszenie? Odrzucić? Ale jak, nie będzie wszakże odsyłał potraw. Zapłacić samemu? Nie wystarczy mu najpewniej tych pięciu dolarów, stanowiących cały jego majątek w obcej walucie.

Greki widząc rumieńce zażenowania na policzkach Julka, przysiadł obok, wyjaśniając:

– Widzisz, w Polsce jest mój brat, Ilia. On był partyzantem. Musiał uciekać... W 1948 roku. Rozumiesz? Polska go przyjęła, także wielu innych Greków. Ma tam dobrze, bardzo lubi Polskę. I dlatego ja też lubię Polaków. Również ciebie. Rozumiesz?

A więc to nie było natręctwo, jakieś filantropijne gesty. To była po prostu wdzięczność do kraju, który dał osłonę jego bratu i wielu innym Grekom.

Szczerze mówiąc, za wiele o wydarzeniach z tamtych lat powojennych nie wiedział. Działo się to wszakże jeszcze przed jego urodzeniem. W Grecji były jakieś walki wewnętrzne. Partyzanci musieli uchodzić z kraju, szukając schronienia w Polsce i w innych krajach. Więc brat tego Papanescu także był partyzantem?

Później, gdy kelner zabrał już opróżnione dokładnie przez Julka talerze, Papanescu wyjął mapę i zaczął wskazywać szlak, jakim jadą. Grek zamierzał wysiadać w Nea-Orestias. Będą jechali spory czas nad samą granicą grecko-turecką, w pewnym miejscu, koło Edirne, miasta już tureckiego, przetną ją nawet niewielkim łukiem, by jeszcze raz wrócić na stronę grecką. A potem będzie wielki most nad Maricą, Turcja i dalej prosty szlak aż na Stambuł.

Papanescu wyraźnie był zatroskany, jak to Julkowi będzie się wiodło w tej Turcji. Bo to Turcy tacy, owacy...

Julek nie przejmował się jego gadaniną. Ojciec mówił, że Turcy lubią Polaków. Podkreślał, że właśnie Turcy nigdy nie uznali polskich rozbiorów, że w ich parlamencie w rządach, gdzie zasiadali dyplomaci obcych krajów, zawsze czekał fotel zarezerwowany dla

przedstawiciela Polski, a przewodniczący obrad uroczyście oznajmiał, iż „poseł Lechistanu jeszcze nie przybył...” W Stambule zmarł także Mickiewicz, mówiła ciotka, że jest tam muzeum poświęcone jego pamięci. No i wszakże w Turcji Adampol... Niech zatem Papanescu wie swoje, on, Julek, swoje też będzie wiedział.

Najważniejsze w tym co innego. To, że niezależnie od narodowości, wszędzie są dobrzy ludzie. W swojej podróży spotkał już przemiłą parę bułgarską, opiekowali się nim jak własnym synem, troszczyli się serdecznie; gdy spał, Bułgar okrywał go swoim kocem, a potem, wysiadając w Sofii, zapraszali go do siebie, proponowali nawet, by zrobił parodniową przerwę w podróży, załatwią mu przedłużenie biletu. Bardzo mili. Teraz znów Papanescu... Też miły, choć tak zarazem śmieszny, rozgadany, gestykulujący, ciągle czymś niesamowicie przejęty.

Taki świat! Jeszcze przed paru dniami Ostróda, koledzy, jeziora wokoło, a teraz tuż, tuż, granica grecka i turecka. On zaś, Julek, próbuje dogadywać się z ludźmi w obcych językach. Z Bułgarami po rosyjsku, z Grekiem po angielsku... Inna sprawa, że warto było mocniej przykładać się do nauki.

II. STAMBULSKIE PERYPETIE

Goniąc z plikami gazet pod pachą, donośnie wykrzykiwali sensacyjne nowiny. Mijając Julka, jeden z nich przychylił się i przeraźliwie zapiął mu prosto do ucha. Aż wpół się zgiął od śmiechu, gdy chłopiec podskoczył przestraszony.

I już ich nie było, tylko z gęstwy ludzkiej dobiegały jeszcze pokrzyki. Ostre światła stambulskich neonów kolorami zakrywały nędzne, marnawe domki tej uboższej dzielnicy.

Julek tylko dla podtrzymania ducha pogroził za gazeciarzami pięścią. Bo tak naprawdę to miał już wszystkiego dosyć. Był piekielnie zmęczony, głodny i nade wszystko zagubiony. Czuł się tak przeraźliwie samotny w tym ogromnym, pulsującym mieście, pełnym nerwowego pośpiechu, krzyków, hałasu, wizgu prujących jak zwariowane aut, smrodu bijącego z rynsztoków, gorąca, którym nagrzone mury zdawały się teraz, pod wieczór, parzyć mocniej jeszcze niżeli w dzień, gdy jasne, wyblakłe słońce żarem waliło z nieba.

Jeszcze przed paru godzinami był dobrej myśli, traktując wszystko jak osobliwą przygodę, ale mrok spadający znienacka sprawił, że oklapł zupełnie. Nie chciało mu się nawet zaczepiać przechodniów, aby spróbować się z nimi dogadać. Wzruszali ramionami, zainteresowani, ale równie bezradni.

W centrum Stambułu, gdzie krążył wcześniej, natrafił czasem na ludzi znających angielski. Od momentu wszakże, gdy wsiadł do tego piekielnego autobusiku, urwało się wszystko. Diabli wiedzą, gdzie się w końcu znajduje. Przecież ten Stambuł to kolos, trzy miliony mieszkańców.

Oparł się o bramę mijanego domu. Nogi ciążyły ołowiem, w głowie wirowało, mieszały się ze sobą napisy neonów, błyski świateł samochodowych, latarni ulicznych i oświetlonych witryn sklepowych. Jak młotem łupał hałas, zdający się narastać i osaczać go ze wszystkich stron. Co teraz robić? Wracać na ten piekielny dworzec – jakże się on nazywa, Sirkeci Gar i – czekać tam nie wiedzieć w ogóle na co? A może jeszcze raz próbować przedrzeć się do promu nad Bosfor i przeprawić na azjatycką stronę albo znaleźć gdzieś nocleg, dopiero rano podejmując decyzję, co dalej?

Oderwał się od muru. Nic tutaj nie wystoi. Dotknął dłonią kieszonki, w której przechowywał pieniądze. Tureckie. Też dziwaczna historia. Wcale nie miał ochoty na zmienianie pięciu posiadanych dolarów. Stało się to tymczasem tak nagle. Wepchnęli mu pięćdziesiąt tureckich liwrów, zabierając w zamian zielony banknocik dolarowy. Może go oszukali?

Znów ostry, wierzący w nosie zapach smażonego na rożnach mięsa. Znowu maleńki lokalik, kilka stoliczków, w okienku oświetlonym maleńką żarówką półmisek z dziwacznymi kulkami, jakby klopsikami z mięsa, obok inne kawałki mięsa ponadziewane na patyki, sałatka pomidorowa usiana cebulą. Julek od wyjścia z wagonu nic nie jadł. To już dobre sześć godzin, wypełnione włóczęgą po ogromnym mieście. Gdyby tak wstąpić, zamówić coś skromnego, nie będzie chyba za wiele kosztować? Bo jeśli przyjdzie się samemu dostawać za Bosfor, przejeżdżać promem, potem szukać autobusu? Musi być oszczędny. I tak lichy wie, czy mu wystarczy. Co właściwie tu zaszło? Listy nie dotarły na miejsce, jakaś omyłka w datach? Może dworzec nie ten? Choć niby tak przecież ciocia pisała: Sirkeci Gari. Gdy wypytywał o inne dworce, Turcy wzruszali ramionami, nie mogli pojąć, o co mu chodzi.

Spostrzegł się, że ciągle stoi przed oknem restauracyjki. Ten zapach!

Zajrzał do wnętrza. Kilka miejsc było wolnych, nie hałasowano też tutaj tak, jak w innych podobnych lokalach. Przy jednym ze stolików czarny jegomość w białym kitlu i w kucharskiej czapce na głowie zajadłe wykręcał z mięsa takie same gałeczki, jak te na półmisku w oknie. Zobaczył go w drzwiach, uśmiechnął się życzliwie. To Julka zachęciło. Trochę desperackim krokiem wszedł do wnętrza bąkając pod nosem słowa przywitania.

Właściciel lokalu stanął przed stolikiem. Julek wskazał na mięsne klopsiki. Zaraz też zapytał po angielsku o cenę. I właściciel, i kucharz bezradnie wzruszyli ramionami. Dopomógł dopiero gest liczenia pieniędzy. Uśmiech, ołówek zza ucha, na stoliku wyrosła nagryziona cyfra: 750.

W Julka jakby grom trzasnął. A on wszystkiego ma tylko pięćdziesiąt liwrow. I za to chciał się jeszcze dostać do Adampola. Ładna historia. Tamci musieli go straszliwie oszukać!

Wstał, przepaszając ukazując swoje pięćdziesiąt liwrow. Właściciel pokiwał głową, pogrzebał w kieszeni, sychnął na stół garść miedziaków i błyszczących świeżych monet, dorzucił kilka banknotów, poklepał na koniec Julka po ramieniu, sadzając go zarazem delikatnie na krześle.

– Kurusz, kurusz – wskazał na monety.

Julek przyjrzał się miedziakowi: 50 kuruszy. Na nikłowej monecie z dziurką pośrodku widniała cyferka: 10. Dopiero zrozumiał. Liwry dzielą się na kurusze, tak jak złote na grosze. Czyli, że to danie kosztuje siedem i pół liwra. Niepotrzebnie najadł się strachu.

Kucharz trącił go w ramię.

– Anglia?

– Poland.

– Polonya? – rozjaśnił się kucharz. – Very good. [*Bardzo dobrze.*] Varsovie, Sienkiewicz, Polonya, yes. Very good, very good!

Julek poczuł się nagle w tym lokalu bardziej swojsko, mniej już samotnie. Próbował zagadać coś do kucharza, zapytać, ale ten kręcił głową, trząsał ramionami, w swej bezradności jeszcze szybciej kręcąc te gałki z potężnej bryły mielonego mięsa, spoczywającej w misie. I tylko to: „Polonya good, very good”, nic więcej. Więc już tylko się uśmiechali do siebie.

Za chwilę zza przepierzenia, skąd dobiegało smakowite skwierczenie, wyłonił się właściciel z talerzem, na którym dymiły klopsiki.

– Kefti – powiedział wskazując na nie.

Obok położył chyba z pół bochna bielutkiego chleba o rumianej, chrupiącej skórce. I jeszcze talerz z sałatką pomidorową. Obaj Turcy uśmiechali się do siebie, mrugali porozumiewawczo. Kucharz krzyknął coś za przepierzenie.

Julek zaś jadł. Dopiero uświadomił sobie, jak przeraźliwie jest głodny. Na domiar kefti smakowały wyśmienicie, nieco pieprzne, ostre, po prostu rozpływały się w ustach. „Umieją ci Turcy gotować” – pomyślał mimochodem, bo nawet na myślenie nie miał czasu, zajęty pałaszowaniem.

Przez drzwi wsunął się mały chłopak z miedzianą tacką w rękach. Stały na niej szklaneczki z mocną herbatą. Jedną z nich postawił przed Julkiem.

– Ja nie zamawiałem – powiedział po polsku i zaraz starał się to wyrazić w angielskim. Tamci zrozumieli bez słów. Kucharz zamachał dłońmi. A potem pokazując na piersi, powiedział:

– Polonya, very good, very good.

Julek uczył przenikające go serdeczne ciepło.

Gdy niedługo potem zapłacił i podniósł się z miejsca, obaj Turcy pożegnali go przyjaznymi uśmiechami i ciągłym powtarzaniem tych samych słów chwälących Polskę.

Wyszedł w mrok ulicy. Po paru krokach wszakże przystanął. Czemuż nie zapytał tych Turków o drogę. Choćby na ten dworzec, jakże to, ach prawda, Sirkeci Gari, ciągle zapomina nazwę.

Jakby przybyło samochodów, gnały jeden za drugim, niskimi światłami omiatając bruk tej bocznej ulicy. Mijały się z prawej i lewej, brały niefrasobliwie zakręty niemalże przed maskami innych maszyn, piszczały zdzierając hamulce. Na jezdnię wyszły jakieś dwie dziewczynki, chcąc się przedostać na drugą stronę ulicy.

Nagle Julek krzyknął rzucając się do przodu. Już był na jezdni, szarpnął ostro jedną z dziewczynek, wyrócili się, tuż obok szalonym skrzętem, gwizdząc oponami, przemknął samochód, omalże nie zderzając się z nadjeżdżającą od drugiej strony ciężarówką. I zaraz rozległ się okropny trzask, łomot, limuzyna rąbnęła w pędzącą za ciężarowym wozem taksówkę.

Ciągnąc za sobą dziewczynkę, wydostał się na wąziutki chodnik, przed tą samą restauracyjką, w której dopiero co jadł kefti. Wokoło narastał krzyk, gęstniał tłum ludzi, rozjarzały się światła reflektorów.

Dziewczynka trzęsąc się cała i płacząc, coś do niego niezrozumiale mówiła. Zjawiała się jej koleżanka, widocznie cofnęła się, w porę. Przyciągnęła towarzyszkę do siebie, uspokajała ją, odprowadzała od miejsca wypadku, potem zniknęły w mroku.

On zaś stał wsparty o mur, oszołomiony, nie bardzo nawet pojmując, co właściwie tu zaszło. Ktoś ujął go serdecznie za ramię, poznał biały kitel kucharza, który mu zafundował herbatę. Znalazł się znów w tej samej restauracyjce, ktoś go sadzał, ktoś inny ocierał twarz i ręce, oglądał, obmacywał. Narastał gwar głosów, pełnych uznania, czyjaś ręka poklepywała go po ramieniu, inna podsuwała pod usta szklankę z napojem. Z ulicy dobiegł gwizd syreny, zajarzyło się niebieskawe światło, Julek domyślił się, że na miejsce wypadku musiała przybyć policja.

Przed wejściem do lokalu kłębiło się, jacyś dwaj ludzie wygrażali sobie pięściami, rozdzielali ich policjanci z wielkimi epoletami na ramieniach, całe bractwo wtłoczyło się w końcu do lokalu.

Julek odetchnął. Nic się zatem nie stało tragicznego, skoro obaj kierowcy mają jeszcze dość sił do wyklinania i wygrażania sobie nawzajem pięściami. Jeden tylko ma potężnego, rosnącego guza na czole i zakrwawioną rękę. Policjanci spisują dane z wielkich dowodów o ciemnoczerwonych okładkach...

W pewnej chwili jeden z kierowców wskazał na Julka, coś przy tym perorując zawzięcie.

Policjant podszedł do chłopca, obejrzał go, uśmiechnął się, poklepał po ramieniu, wskazał na wstążeczkę z napisem „On parle français” [*Władza francuskim.*] na rękawie, zagadał po francusku. Julek przecząco pokręcił głową.

– English – powiedział.

Tamten wzruszył ramionami. Julkowi przyszło na myśl, że trzeba przy tej okazji koniecznie wywiedzieć się o ten dworzec, na azjatycką stronę Stambułu nie będzie się wszakże próbował w nocy dostawać. W najgorszym razie przesiedzi na Sirkeci Gari do rana.

A może, a może ciocia Zosia zjawiła się tymczasem i teraz ona szuka go zdenerwowana, wypytuje. Może trafi do informacji, dadzą jej kartkę, którą napisał?

– Sirkeci Gari – powiedział i wskazał bezradnie rękami, że nie wie, gdzie to jest.

– Sirkeci Gari? – powtórzył policjant i zaraz ze zrozumieniem pokiwał głową.

Kolega coś zakrzyknął do niego przez salę. Wyciągnął rękę do Julka.

– Pass...

Długo oglądał polski paszport, okręcał go w dłoniach, wczytywał się w równoległy z polskim francuski tekst.

Drugi policjant skończył swoje zapisywanie, kierowcy jakby zmęczeni krzykami spokojnie opuszczali lokal. Policjanci skinęli na Julka, by udał się razem z nimi. Kucharz uściskał mu ciepło rękę, poklepał, zagadał, że bravo, bravo...

I tyle. Jeep policyjny ruszył szybko, wspaniałym zrywem. Światła neonów słały się na jezdni różnokolorowymi plamami. Im bardziej przybliżali się do centrum, tym bardziej narastało natężenie tych świateł, tym większy stawał się tłum samochodowy, tym liczniejszy tłum spieszący chodnikami. Ze zbliżającą się nocą Sambuł zdawał się jakby dopiero nabierać pełnego życia.

W pewnej chwili wydało się Julkowi, iż przejeżdżają obok meczetu, który już dzisiaj widział. Policzył. W górę strzelało sześć iglic minaretów, rozcinając ciemnobłękitne niebo. Policjant siedzący obok niego dostrzegł spojrzenie chłopca.

– Suleyman Moschee – powiedział, na palcach odliczając właśnie tę ilość sześciu minaretów. Niedługo zaś potem wskazał w lewo, gdzie blask świateł zdawał się tężeć w nasyceniu.

– Galata bridge.

Julek odetchnął tylko głęboko. Most Galata. Był już wszakże dziś na nim, przejeżdżał tędy, gdy pragnął się dostać nad Bosfor i szukać tam promu, który by go przerzucił na drugą stronę cieśniny. I zaraz potem się zgubił, a gdy na pytania o dworzec wskazano mu wreszcie niewielki autobus, dotarł nim aż do tej dzielnicy, skąd teraz wywoził go policyjny jeep.

Samochód zataczając łuk podjechał pod rojny tłumem budynek.

– Sirkeci Gari – powiedział policjant przy kierownicy, spojrzał przy tym pytająco na Julka, może jeszcze chce czegoś od nich.

Nie chciał niczego. Widok znanego dworca, na którego peron wysiadł z pociągu, podzielał na niego jak obraz własnego domu. Tu w przechowalni znajdowały się jego rzeczy, tu może będzie jakaś wiadomość w okienku informacyjnym.

Pokręcił przecząco głową, podziękował. Zasalutowali pięknie, jeep zerwał szybko, zniknął za niedalekim rogiem.

Julek zaś dopiero w tej chwili uświadomił sobie, iż zrobił głupstwo. Przecież należało prosić ich o opiekę. Niechby zawieźli do komisariatu czy jak się to u nich nazywa, na pewno by się znalazł tam ktoś władający angielskim, można by się było dogadać, poradzić. A teraz będzie znów sam. Bo tam, w Adampolu, chyba w ogóle nie wiedzą o jego przyjeździe. Listy zaginęły, telegram od ojca nie dotarł? Na pewno tak, jakżeby inaczej ciocia go zostawiła samego?

Ostry krzyk kazał mu odskoczyć na stronę. Młodszy od niego chłopak przesunął się tuż obok przygięty pod ciężarem wielkiego kosza. Pot ściekał mu po wychudzonej twarzy.

Julek odprowadził go spojrzeniem, po czym rozejrzał się wokoło. Przy kilkunastu skrzynekach mali chłopcy nawoływali przechodniów do czyszczenia obuwia. Jeszcze inni wydzielali się tytułami sprzedawanych gazet albo zachęcali do kupowania biletów, wyglądających na losy loteryjne. Wszędzie przesmykiwały się małe postaci, zajęte czymś, bardzo zaambarasowane.

Wydało się Julkowi, że zobaczył inne oblicze tego miasta, inne kłopoty mieszkających w nim ludzi. W tych proporcjach własna sytuacja stała się nagle dla Julka mniej ponura.

Ostatecznie tak czy inaczej dotrze przecież do Adampola. Chyba nie zmiotło go z powierzchni jakieś trzęsienie ziemi?

Raźniejszym krokiem wszedł do przedsionka, na skos, poprzez tłum ludzi, kierując się do okienka informacyjnego.

Dostrzegli się równocześnie. Zapłakana kobieta zerwała się z ławki, biegnąc ku niemu z szeroko rozpostartymi ramionami. I on rozpoznał ciocię Zosię, była zupełnie taka sama, jak przed czterema latami, kiedy gościła u nich w Ostródzie. Siwe włosy, przyjemna twarz...

I nic już nie widział, zamknięty w objęciach kobiety, powtarzającej niezmiennie:

– Julek, Juleczek, dziecino, co ja się natrapiałam o ciebie, co ja się natrapiałam...

– Niechże i ja się przywitam. Kuzynami jesteśmy. Lolek mi na imię – przerwał te pocałunki i pokrzykiwania młody, postawny mężczyzna. – To trochę przeze mnie te kłopoty, ale maszyna stary grat, czasami wariuje, teraz też nawaliła... Trzeba ci było dłużej trochę poczekać na dworcu.

– A ty tam, Lolek, co wiesz. Nie zastał nas, więc myślał, że w ogóle już się nie pojawimy... Dobrze, Julek, żeś sam nie jechał, zagubiłbyś się nam gdzie na amen. Czytałam twoją kartkę zostawioną w informacyjnym okienku i nie wiedziałam, co robić, tu czekać, czy gnać do domu... Alem się nafrasowała, alem natrapiała, Juleczku.

– Bagaże gdzie masz? Bo pora nam jechać. Noc już, ledwie nad świtanie dobijemy na miejsce. Kwit? Daj, ja sam odbiorę. Ciotka byś mu dała lepiej co zjeść, zamiast łyż ronic. Głodny na pewno.

– Jadłem kefti.

– Patrzcie, już się zna na tureckich specjałach – zaśmiał się Lolek, klepnął Julka po plecach, aż zadudniło. – Widzę, że będziemy w przyjaźni, lubię takich zaradnych chłopców.

– Toż go nie bij, osiłku! – obruszyła się ciocia Zosia. – Ganiaj po te bagaże, a my naprawdę może coś zjemy? Albo wypijesz? Herbatę chciałbyś czy jakiś sok? Pomarańczowy czy z ananasa?

– Dziękuję, ciociu. Piłem herbatę. Tak się cieszę, tak się cieszę... Nie wiedziałem, co robić. Czekałem ponad godzinę, pomyślałem, że zaszła jakaś omyłka w terminach, chciałem sam jechać do Adampola... A potem trochę zaciekawiło mnie miasto, widziałem meczety, trafiłem na jakiś rynek pod dachem, bazar, strasznie ogromny i ciekawy, później zaś nie mogłem dotrzeć nad Bosfor, do promu, nie udało mi się też wrócić na dworzec, pokazano mi widocznie nie ten autobus, ani wiem, gdzie się w końcu znalazłem. Dopiero policjanci mnie tu przywieźli...

– Chryste Panie, policjanci! Gdzież byś ty, kruszynko, sam sobie poradził, kiedy tu ani się zgadać z kimkolwiek. Ale to nic. Zobaczysz, parę miesięcy, to z biedą i po turecku będziesz się mógł porozumieć. A już za pół roku to dopiero...

„Za pół roku”? Twarz jego stężała, przypomniał swoje nie tak dawne rozmyślenia w wagonie.

– Ciociu, przecież ja na krótko, tylko nim tatek wróci do zdrowia.

Musiła się spostrzec. Zagadała szybko, zatrwożona swoją poprzednią niezręcznością:

– Mówiłam, że gdybyś został dłużej, tobyś zgadał się nawet po turecku... No, a jak z ojcem? Bardzo słabuje? Pisał, że do szpitala musi, a potem do kurortu.

– Do sanatorium. Ciociu, jak jest naprawdę z tatkiem?

– Chory, pewnie, chory. Ale przejdzie mu. Nie z takich chorób ludzie wychodzą. Dziś gruźlica niestraszna, umiej ją leczyć.

– Gruźlica? Przecież tatek nic nie ma z płucami. Żołądek...

– No właśnie, żołądka gruźlica... To nie wiesz? – znów powieki jej zatrzepotały niespokojnie. – O, jest Lolek! A zdrowiem ojca nie przejmuj się, odmieni się prędko na lepsze... No jak, Lolek, jedziemy?

– Jedziemy. Trzymaj, guma do żucia. Dobra rzecz. Nie lubisz? – podał mu kolorowy pakiecik. – A coca-colę już piłeś? Nie? Tu jest bufet, zaraz nam podadzą. Nie chcesz pić? Szkoda. No to jedziemy.

Niedaleko, wtłoczona w dziesiątki innych wozów, stała półciężarówka kryta plandeką. Zmieścili się we trójkę w szoferce, motor zaskoczył leniwie.

– Starzyzna. Przez to i twoja dzisiejsza przygoda – zaśmiał się Lolek, włączając bieg.

– Juleczek, kruszynka, moje biedactwo, tyle się naponiewierał, tyle najadł tu strachu.

– Nie było, ciociu, tak źle – uśmiechnął się, ale tak prawdę powiedziawszy nie bardzo mu było do śmiechu.

Co to ciotka mówiła o ojcu? Gruźlica żołądka? O tym nie wiedział. I ta jej zapowiedź, że za pół roku nauczy się tureckiego. Tak bardzo była później zmieszana, tak niezręcznie wycofywała się ze swych słów. Jak to wszystko rozumieć?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI